

Tajemnica Przełęcz Diatłowa

W 1959 roku w tajemniczych okolicznościach zaginęła grupa radzieckich studentów, którzy wyruszyli na Ural. Ich ciała nosiły ślady promieniowania. Akta sprawy utajniono...
infra.org.pl

Historia ta przypomina nieco niskobudżetowy horror. Dziewięcioro młodych studentów wybiera się na narty na Ural, aby nigdy nie powrócić. Ostatecznie ekipa ratunkowa natrafia na ich ciała. Okazuje się, że pięcioro z nich zamarzło na śmierć w pobliżu namiotu, jednak pozostała czwórka nosi znacznie bardziej tajemnicze obrażenia – zmiążdżoną głowę czy ucięty język schowany w śniegu jakiś kawałek dalej. Wszyscy jak się wydaje, uciekali nocą w przerażeniu ze swego obozu. Porzucając po drodze narty, jedzenie i ciepłe płaszcze dotarli oni śnieżnym zboczem do gęstego lasu, gdzie już nie mieli szans na przeżycie na 30 stopniowym mrozie. W owym czasie zdumieni historią śledczy nie zaoferowali wyjaśnień odpowiadających za śmierć studentów, upatrując jej przyczyny w „nieznanej sile”, następnie zaś opatrzyli akta dotyczące zdarzenia klauzulą „ściśle tajne”.

Minęło pół wieku, ale tajemnica nadal istnieje. Jaka była natura owej „nieznanej siły”? Czy radzieckie władze starały się coś ukryć? W międzyczasie wysunięto różne hipotezy, które obejmowały niemalże wszystkie czynniki – od wrogich plemion, po śnieżnych ludzi (rosyjskie odpowiedniki Yetiego), obce istoty oraz sekretną wojskową technologię.

- Jeśli miałbym szansę zadać Bogu jedno pytanie, to zapytałbym o to, co stało się w rzeczywistości z moimi przyjaciółmi tamtej nocy – mówi Jurij Juin – dziesiąty i jedyny ocalały członek ekspedycji. Judin zachorował i po kilku dniach wrócił z wyprawy. Los reszty jego przyjaciół pozostawał bolesną tajemnicą, którą starał się również wyjaśnić



na własną rękę.

Jurij Judin (z prawej) - jedyny ocalały członek ekspedycji w objęciach Ludmiły Dubininej. Z lewej spogląda na nich Igor Diatłow

WYPRAWA

Judin wraz z resztą grupy wyruszyli 23 lutego 1959 kierując się ku górze Ortorten w północnej części Uralu. Zarówno on, jak i pozostali jej członkowie byli studentami Uralskiego Instytutu Politechnicznego w Jekaterynburgu.

Miasto noszące wówczas nazwę Swierdłowsk najlepiej znane było jako miejsce wymordowania członków rosyjskiej rodziny carskiej po Rewolucji październikowej. (Sama nazwa Swierdłowsk nadana została miastu po Jakowie Swierdłowie – liderze partii bolszewickiej). W 1959 roku Związek Radziecki dotknięty był odwilżą po dekadach stalinowskich represji. Na czele kraju stał Nikita Chruszczow. W latach 50-tych ZSRR był także świadkiem eksplozji „turystyki sportowej”. Mieszanka narciarstwa, wspinaczki i innych aktywności nie była tylko formą zdrowego trybu życia, ale także ucieczki od codziennego życia, powrotem do natury i najlepszym sposobem na spędzenie czasu z przyjaciółmi z dala od wszechobecnych oczu państwa. Szczególną popularność zyskała sobie ona wśród studentów, którzy wybierali się w najdziksze regiony kraju.

Grupa w skład której wchodził Judin składała się z doświadczonych członków klubu turystyczno-sportowego swierdłowskiej uczelni. Na jej czele stał 23-letni Igor Diatłow – znany ze swej znajomości narciarstwa oraz gór. Ich wyprawa na Ortorten, który wznosi się 1100 m. ponad poziom morza została oznakowana „III kategorią”, czyli

najniebezpieczniejsza o tej porze roku, lecz doświadczenie studentów oznaczało, że nic nie powinno przeszkodzić w jej organizacji.

Obok Diatłowa i Judina na Ural wyruszyli: Georgij Krywoniszczenko (lat 24), Jurij Doroszenko (24), Zina Kołmogorowa (22), Rustem Słobodin (23), Nicolas Thibeaux-Brignollel (24), Ludmiła Dubinina (21), Aleksander Kolewatow (25) oraz Aleksander Zołotariow (37). Tylko ostatni członek ekspedycji nie był studentem, zaś niektóre źródła opisują go jako nieco dziwną postać, której uczestnictwie w wyprawie miał sprzeciwiać się Diatłow. Ten jednak okazał się doświadczonym turystą i wyruszył z nimi z rekomendacji znajomych Diatłowa.

23 stycznia grupa przygotowywała się do trzytygodniowej wyprawy. Dotarli oni 25 stycznia pociągiem do Iwdela, zaś potem samochodem do Wiżaj – ostatniej zamieszkałej osady leżącej na skraju pokrytej śniegiem głuszy wśród której leżał Otorten. 28 stycznia Judin zachorował i musiał wracać, przez co na miejscu pozostała tylko grupa 9 osób. Wtedy po raz ostatni widział też wszystkich żywych. Obrót wydarzeń po odejściu Judina da się odtworzyć jedynie z dzienników i zdjęć autorstwa członków grupy, które znaleziono w ich ostatnim obozowisku.

Po odejściu kolegi, członkowie grupy przedzierali się przez odludne tereny i zamrożone jeziora, poruszając się przez 4 dni po trasach lokalnego plemienia Mansów. 31 stycznia dotarli nad rzekę Auspia, gdzie rozbili obóz, w którym pozostawili narzędzia i prowiant, który wykorzystali mieli w drodze powrotnej. Stamtąd pierwszego dnia lutego wyruszyli ku górze Otorten. Z jakichś powodów (a najprawdopodobniej z racji złej pogody) grupa zbłądziła odnajdując się na zboczu góry Cholatczachl na wysokości ponad 1000 m. Tam około 17:00 rozbili namiot, w którym mieli spędzić noc, choć w odległości 1.5 km znajdował się las, który mógł zapewnić im lepsze schronienie.

Ostatnie zapiski z dzienników wskazują, że uczestnicy wyprawy byli w dobrych nastrojach. Wydawali nawet swą własną „gazetę” o nazwie „*Otorten Wieczorny*”. Następnego dnia mieli przejść 10 km na północ.

POSZUKIWANIA

Wedle planu grupa miała powrócić do Wiżaj przed 12 lutego, skąd Diatłow miał nadać telegram do klubu sportowego, że wyprawa się udała. Nikt jednak nie zdziwił się, gdy telegram nie przyszedł zgodnie z planem, jednak obawy nie były zbyt wielkie gdyż członków grupy znano jako doświadczonych narciarzy. Alarm 20 lutego podnieśli dopiero krewni studentów, zaś na Ural z Instytutu wysłano ekipę poszukiwawczo-ratunkową, po której na miejsce udała się również milicja i wojsko wyposażone w śmigłowce i samoloty.

Ratownicy-ochotnicy na opuszczony obóz natknęli się 26 lutego.

- Odkryliśmy, że namiot został rozcięty od środka i był pokryty śniegiem. Był pusty, zaś w środku znajdowały się wszystkie rzeczy w tym buty – mówił Michaił Szarawin, który znalazł namiot.

W głębokim na metr śniegu odkryto ślady ludzi bosych, w skarpetach, walcach oraz jednym bucie. Odciski stóp pasowały do członków grupy, choć nie udało się ustalić czy 8 czy 9 z nich. Na miejscu nie znaleziono śladów szamotaniny czy obecności innych niż studenci osób. Ich samych jednak nie było.

Ślady prowadziły w dół zbocza w kierunku lasu, jednak po 500 metrach się urywały. W odległości 1.5 km od namiotu trafiono na pierwsze dwa ciała. Georgij Krywoniszczenko i Juri Doroszenko leżeli bosi i odziani jedynie w bieliznę na krawędzi lasu, w pobliżu dużej sosny. Ich ręce były poparzone a w pobliżu znajdowały się ślady ogniska. Złamane na wysokości 5 m. gałęzie drzewa sugerowały, że któryś z narciarzy wspinał się tam, aby spojrzeć na coś z wysokości.

300 m. dalej leżało ciało Diatłowa. Leżał na plecach z twarzą zwróconą w kierunku obozu, w jednej ręce trzymając gałąź. 180 m. dalej w kierunku namiotu ekipa natrafiła na zwłoki Słobodina, zaś 150 m. dalej Ziny Kołmogorowej. Wyglądał na to, że dwójka starała się dotrzeć ostatkiem sił do obozu.

Lekarze orzekli, że cała piątka zmarła wskutek hipotermii. Jedynie ciało Słobodina nosiło obrażenia inne od poparzonych rąk. Jego czaszka była pęknięta, choć prawdopodobnie nie było to obrażenie śmiertelne.

Poszukiwania pozostałej czwórki zajęły dalsze dwa miesiące. Ich ciała odnaleziono pod 4-metrową warstwą śniegu w leśnej rozpadlinie w odległości 75 m. od drzewa, przy którym znaleziono pierwsze dwie ofiary. Nicolas Thibeaux-Brignollel, Ludmiła Dubinina, Aleksander Kolewatow oraz Zołotariow zmarli jak się wydawało w sposób znacznie

bardziej tragiczny. Czaszka pierwszego z nich była zmiążdżona, zaś Dubinina i Zołotariow mieli liczne połamane zębra. Kobiecie brakowało także języka. Mimo wszystko brak było śladów obrażeń wewnętrznych.

Jak twierdził pisarz Igor Sobolow, który zajmował się przypadkiem tragicznego końca ekspedycji, wydawało się, że niektórzy z pozostałej czwórki zabrali ubrania tych, którzy zmarli na początku. Niektóre z nich miały w sobie cięcia, jak gdyby zostały zdarte na siłę. Zołotariow miał na sobie futro Dubininej, podczas gdy ona miała stopy owinięte bielizną Krywoniczenki. Francuz miał na sobie dwa zegarki – jeden pokazywał 8:14, zaś drugi 8:39.

Mimo wielu pytań bez odpowiedzi, śledztwo zamknięto wraz z końcem miesiąca, zaś dokumentację przesłano do tajnego archiwum. Co równie ciekawe, na trzy następne lata ustalono zakaz odwiedzin w tym miejscu.

ŚLEDZTWO

- Miałem wtedy 12 lat, ale pamiętam, jak głęboki wpływ miał ten incydent na społeczeństwo mimo wysiłku władz, aby badacze i członkowie rodzin zmarłych trzymali język za zębami – mówi Jurij Kuncewicz – kierownik jekaterynburskiej Fundacji Diatłowa, która do dziś stara się rozwikłać zagadkę.

Przez lata wielu ludzi starało się zrozumieć, co tak naprawdę stało się nocą z pierwszego na drugi lutego 1959 roku na zboczach Cholatczachl. Niektórych, jak Sobolowa zafascynował tragiczny los narciarzy. *„Studenci, którzy stali się legendą, z odwagą stanęli do nierównej walki z nieznanym na zboczach Cholatczachl i pokazali, że mogli stanąć do niej z pewnością”* – pisał.

Ale jaka jest prawdziwa natura „nieznanego”, z którą walczyli i niestety przegrali? Dlaczego uciekli z namiotu i dlaczego zdecydowali się na dalszą ucieczkę pośród nocy, choć rozpalili już ognisko? Dlaczego druga grupa spoczęła pod kilkumetrową warstwą śniegu? Teorii jest wiele.

Jedną z pierwszych, którą starali się zgłębić na początku śledczy w sprawie dotyczyła morderstwa ze strony miejscowego ludu Mansów za naruszenie ziemi świętej. Przypuszczenia takie nie były bezpodstawne, gdyż incydent z lat 30-tych mógł dobrze zachować się w pamięci śledczych. W tym okresie szaman Mansów rzekomo utopił geolożkę, która wspięła się na górę uważaną za zakazaną przez jego lud. W przypadku grupy Diatłowa ani jedna ani druga góra nie były jednak ważne dla Mansów, nie stanowiąc miejsc świętych ani zakazanych. Zdumiewającym zbiegiem okoliczności może być to, że nazwa Ortoten oznacza w miejscowym języku „nie idź tam”, zaś Cholatczachl tłumaczy się jako „Góra śmierci”. W każdym razie nazwy te mogły dla wędrujących Mansów mieć raczej praktyczne aniżeli jakiegokolwiek inne zastosowanie. Ponadto najbliższa wioska ludu znajdowała się w odległości ok. 100 km, zaś oni sami utrzymywali raczej przyjazne stosunki z Rosjanami i nie zapuszczali się w zimę w okolice, w które wybrali się studenci, gdyż nie wiązały się one ani z ich terenami łowieckimi ani pastwiskami. Jakiś czas potem teorię o zemście Mansów odrzucono z racji braku dowodów. Inne sugestie mówiły, że Diatłow i jego ludzie mogli natknąć się na przebywającą w okolicy grupę przestępców albo też zostali oni przypadkowo wzięci za zbiegłych więźniów przez strażników z miejscowego obozu.

Jakiś czas potem mówiono nawet, że więźniowie obozu śpiewali piosenkę opartą na słowach wiersza Diatłowa, choć mało prawdopodobne jest, aby ten jakiegokolwiek pisał. Historia ta jest raczej zmienioną wersją faktu, że podczas noclegu w Wiżaj grupa Diatłowa spotkała się z ekipą geologów, od których nauczyli się wielu „zakazanych piosenek”, co odnotowała w swym dzienniku Dubinina. Nie wiadomo, czy były to piosenki polityczne czy też zwyczajne „złodziejskie ballady”.

W każdym razie wszystkie teorie dotyczące interwencji ludzi w sprawę śmierci członków grupy nie odpowiadały faktom, bowiem w okolicach ostatniego obozu ani też przy ciałach nie odnaleziono innych niż pozostawione przez nich śladów stóp. Co więcej, dr Borys Wozroždenny, który badał ich ciała orzekł, że według jego opinii żaden człowiek nie mógł spowodować u nich podobnych obrażeń, bowiem siła z jaką je zadano była tak wielka, że zniszczeniu nie uległy tkanki miękkie.

Grupa Diatłowa rozbija obóz. Jest to jedno z ich ostatnich zdjęć wykonane 1 lutego 1959 ok. 17:00.

- Był to efekt porównywalny z tym, co dzieje się w czasie wypadku samochodowego – mówił.

Ale jeśli nie ludzie spowodowali śmierć narciarzy, to co za nią stoi?

Owe tajemnicze obrażenia zgodnie z opinią rosyjskiego kryptozoologa Michaiła Trachtengertza wyglądały tak, „*jak gdyby ktoś za mocno ich uścisnął*”. Inni fotelowi teoretycy sugerowali, że ucieczkę narciarzy z namiotu spowodował widok 3-metrowej wysokości potwora, który wyłonił się ze śniegu.

Obserwacje „*śnieżnych ludzi*” i innych stworzeń przypominających wyglądem himalajskiego Yetiego są w Rosji powszechne, jednak jeśli te stworzenia rzeczywiście ukrywają się gdzieś w głuszy, robią to aby skryć się przed ludzkimi oczyma.

Trachtengertz twierdził również, że tworzona przez nich „*gazetka*” zawierała oświadczenie napisane wielkimi literami: „*Od dziś wiemy, że ludzie śniegu istnieją.*” W dalszej części czytamy: „*Można ich spotkać na Północnym Uralu, niedaleko Ortotena.*” Jednakże biorąc pod uwagę raczej satyryczny ton gazetki, której zadaniem było jednoczenie grupy można odnieść wrażenie, że studenci odnosili ten zapis raczej do siebie nie zaś do nieznanego nauce istot. Oprócz tej pojawiły się także inne sugestie, w tym jedna odnosząca się do ataku podziemnych istot.

AKTA

Akta w sprawie grupy Diatłowa udostępniono dopiero w latach 90-tych ub. wieku, ale zabieg ten dodał jedynie tajemnic wydarzeniom z lutego 1959 roku. Testy medyczne wykazały znaczne ślady promieniowania na ciałach i ubraniach czwórki narciarzy odnalezionych w rozpadlinie. Wyglądało na to, że albo mieli oni do czynienia z materiałami radioaktywnymi, albo też znaleźli się w skażonej okolicy. Jeden z pierwszych badaczy sprawy, Lew Iwanow opisuje zachowanie licznika Geigera w czasie wizyty w obozie grupy Diatłowa na górskim stoku. Iwanow mówi, że w miarę zbliżania się do miejsca licznik zaczął nagle piszczeć i klikać.

Stwierdził on jednak, że władze regionalne nakazały mu zamknąć dochodzenie i trzymać sprawę w tajemnicy. Władze niepokoiły także liczne doniesienia armii i służby meteorologicznej dotyczące „*jasnych latających kul*” widywanych nad obszarem, gdzie leży Chylat-Siachyl w lutym i marcu 1959 roku, których obserwacje koncentrowały się wokół 17 lutego.

Panorama obszaru, na którym zaginęli studenci z widokiem na Cholatczachl

- Przypuszczałem wówczas i dziś również tak sądzę, że owe latające kule miały bezpośredni związek ze śmiercią członków ekspedycji – powiedział Iwanow jednej z kazachskich gazet.

Akta zawierały zeznania innej grupy turystów, studentów geografii, którzy tej samej nocy, gdy doszło do ucieczki grupy Diatłowa z namiotu stacjonowali w odległości 50 km na południe od nich. Ich lider zeznał, że widzieli wówczas dziwne pomarańczowe kule lub też „*kule ognia*”, które unosiły się na niebie w okolicach Cholatczachl. Inny z nich odnotował, że widział „*jasny okrągły obiekt, który przeleciał nad wioską z południowego-wschodu na północny-zachód. Jasny dysk był praktycznie w rozmiarze księżyca w pełni. Miał niebiesko-biały kolor i otoczony był niebieskawą aurą. Otoczka nieznacznie błyskała, tak jak znajdująca się daleko burza. Gdy obiekt zniknął za horyzontem, niebo w tym miejscu pozostawało jasne jeszcze przez kilka chwil.*”

Iwanow spekulował, że jeden z narciarzy mógł feralnej nocy opuścić namiot, zauważyć kulę i zbudzić swymi krzykami innych, co skłoniło ich do pościgu w dół zbocza. W tym czasie kula mogła eksplodować zabijając czwórkę, która odniosła poważne obrażenia, jak i powodując uraz czaszki Słobodina.

- Nie wiem, czym były te kule – czy była to broń czy też obcy, albo jeszcze coś innego, ale jestem pewien, że bezpośrednio wiążą się one z ich śmiercią – dodał Iwanow.

Jurij Judin również myśli podobnie. Tajemnica otaczająca wydarzenie skłoniła go do wniosku, że mogli oni przypadkowo trafić na tajny poligon wojskowy, co tłumaczyłoby ślady radioaktywności na ich ubraniach. Kuncewicz zgadza się z tym wnioskiem dodając, że ważną wskazówką jest odkryta na ciałach opalenizna.

- Brałem udział w pogrzebach pierwszych pięciu ofiar i pamiętam, że ich twarze wyglądały na opalone na głęboki brąz – mówił.

Inne relacje również sugerowały jakoby członkowie rodzin ofiar mówili o nienaturalnym kolorze ich skóry oraz siwych włosach. Ujawnione dokumenty nie zawierają jednak informacji o stanie organów wewnętrznych członków ekspedycji.

- Wiem, że umieszczono je w specjalnych pojemnikach a potem wysłano na badania – powiedział Judin.

Mimo to w okolicach obozu nie natrafiono na jakiegokolwiek ślady eksplozji. Dwa lata przed tragicznym finałem wyprawy Rosjanie wystrzelili z Kosmodromu Bajkonur pierwszego satelitę.

Dwa lata po wydarzeniach z 1959 roku Jurij Gagarin z tego samego miejsca udał się w pierwszą podróż kosmiczną. Ale czy radziecki program kosmiczny może mieć jakikolwiek związek z tym, co przytrafiło się grupie studentów?

Podczas gdy rakieta z Bajkonuru mogłaby dotrzeć na północy Ural, nie ma jakichkolwiek zapisków o odbywających się w tym czasie próbach – mówił Aleksander Żeleznikow – historyk rosyjskiego programu atomowego. Drugi leżący jednak znacznie bliżej kosmodrom w Plesiecku otwarto dopiero pod koniec 1959 roku. Rakiety ziemia-powietrze, który mogły być z niego odpalane jeszcze wówczas nie powstały.

Mimo to Jurij Kuncewicz, który w 2007 roku poprowadził w rejon Cholatzachl ekspedycję, trafił tam na ślad „cementarzyska” metalowych części wskazujących na fakt, że wojsko przeprowadzało tam swego czasu eksperymenty.

- Nie możemy stwierdzić, jaki rodzaj broni testowano, ale katastrofa z 1959 była z pewnością spowodowana przez człowieka – mówi.

Judin wierzy z kolei, że wojsko mogło dotrzeć do namiotu grupy jeszcze przed ratownikami. Dodaje również, że poproszono go o zidentyfikowanie właścicieli każdego ze znalezionych na miejscu przedmiotów, lecz nie udało mu się ustalić przynależności kawałka tkaniny, który wyglądał jak materiał użyty do szycia wojskowych płaszczy, pary nart oraz ich kawałka. Judin miał widzieć również dokumenty, które doprowadziły go do wniosku, że śledztwo w sprawie zdarzenia otwarto już 6 lutego, czyli dwa tygodnie przed znalezieniem namiotu przez ekipę ratunkową.

Inni zwolennicy teorii o wojskowym spisku w sprawie zdarzenia idą jeszcze dalej twierdząc, że narciarze mogli zostać celowo zamordowani po natknięciu się na pewien rodzaj wojskowej tajemnicy. Niezależnie od tego co testowano, prawdopodobnie nikt nie spodziewał się, że na tym odludziu pośrodku zimy znaleźć się mogą jakiegokolwiek ludzie. Kiedy natrafiono na ich obecność, priorytetem było zapewnienie tajności poprzez eliminację ocalałych świadków.

Ale ci albo już nie żyli, albo umierali. Eksplozja zabiła troje z nich na stoku i jeszcze dwóch przy ognisku. Czwórka nadal żyła, jednak cierpiała wskutek napromieniowania. Gdy stracili przytomność, wrzucono ich do rozpadliny, co spowodowało znalezione u nich obrażenia. Następnie szczelinę zasypano śniegiem.

Mimo wszystko teoria ta jest trudna do zaakceptowania z racji wspomnianego już braku w okolicach obozu jakichkolwiek obcych śladów.

Moisej Akselrod, przyjaciel Diatłowa, podchodzi do sprawy z bardziej przyziemnym spojrzeniem. Jak mówi, według jego opinii na namiot spadła lawina. Część studentów odniosła rany w czasie, gdy śnieg uderzył w ściany namiotu, blokując jednocześnie wyjście, zmuszając ich do wykonania cięcia od środka. Grupa skierowała się do poprzedniego obozu, lecz zabłądzili. Przy ognisku część z nich zdjęła ubrania, aby dać je rannym.

Jewgienij Bujanow oraz Walentin Nekrasow, doświadczeni turyści również wspierają tą wersję mówiąc, że charakter obrażeń odkrytych u studentów zgadza się z tymi jakie odnieść można po zderzeniu z masą śniegu. Czaszka Thibauxa-Brignolle’a pękła w wyniku uderzenia, zaś Dubinina mogła odgryźć sobie język.

Krytycy tej wersji wydarzeń wskazują na fakt, że narciarze opuścili obóz pieszo i przeszli ponad kilometr w temperaturze -30 stopni Celsjusza. Thibaux-Brignolle mógł być nieprzytomny z racji zmiażdżonej czaszki, jednak mógł być niesiony przez innych (zatem śledczy nie byli w stanie ustalić dokładnej liczby śladów w śniegu). Dubinina i Zołotariew mogli poruszać się mimo złamanych żeber, choć obrażenia, jakich doznała kobieta (której żebro przebiło serce) sprawiały, że było przed nią jedynie kilkanaście minut życia. Zmarłaby zatem przed dotarciem do lasu i rozpadliny. W jaki zatem sposób jej dwaj towarzysze zamierzili na śmierć przed tym nim nastąpił jej zgon? Po raz kolejny pozostaje nam więcej pytań niż odpowiedzi.

DZIEDZICTWO

Ponieważ w latach 90-tych pojawiło się więcej szczegółów w sprawie wydarzenia, wielu badaczy kontynuowało próbę znalezienia odpowiedzi. Jekaterynburski dziennikarz, Anatolij Guszczin, jedna z pierwszych osób, które dotarły do oryginalnych dokumentów ze śledztwa przeprowadzonego w 1959 roku mówił, że brakowało znacznej liczby stron wymienionych w dokumentacji. W 1999 roku wydał on książkę pt. „Cena tajemnic państwa w dziewięciu żywotach”, gdzie wysuwa on swą własną teorię dotyczącą testów tajnej broni i wojskowego spisku. Lew Iwanow dodał wagi tym twierdzeniom, gdy oświadczył, że nakazano mu milczeć w tej sprawie. Iwanow emeryturę spędził w Kazachstanie, gdzie zmarł cały czas trwając w wierze, jakoby za tragedią grupy studentów stało UFO i obca technologia.

Pomnik upamiętniający tragicznie zmarłych

W roku 2000 regionalna stacja telewizyjna nakręciła dokument o incydencie, zaś pisarka Anna Matwiejewa opublikowała na wpół fikcyjną powieść opartą o losy grupy studentów. Od tego czasu założona przez przyjaciela Diatłowa, Jurija Kuncewicza, fundacja mieszcząca się w Jekaterynburgu zajmuje się pielęgnowaniem pamięci o studentach oraz próbą ponownego otwarcia badań nad ich śmiercią.

W 2008 roku sześciu członków oryginalnej ekipy ratunkowej oraz 31 niezależnych ekspertów zgromadziło się na konferencji zorganizowanej przez Uralski Krajowy Uniwersytet Techniczny, Fundację im. Diatłowa oraz kilka organizacji pozarządowych. Doszli oni do wniosku, że za śmierć członków ekipy odpowiada wojsko przeprowadzające testy na obszarze północnego Uralu. Mimo to „brak nam dokumentów, o które prosimy Ministerstwo Obrony, Rosyjską Agencję Kosmiczną oraz FSB i dzięki którym otrzymalibyśmy pełniejszy obraz sytuacji” – czytamy w oświadczeniu jej uczestników.

Co rzeczywiście stało się nocą z 1 na 2 lutego 1959 roku? Odpowiedzi możemy nie poznać nigdy, ale z pewnością ofiary tego incydentu, w tym Diatłow, nie zostaną tak szybko zapomniani. Okolica, w której rozbili swój ostatni obóz została oficjalnie nazwana „Przełęczą Diatłowa”.

Tłumaczenie: INFRA

Źródło: S.Osadcuk, K. O'Flynn, *Fortean Times* #2 2009

W artykule wykorzystano zdjęcia pochodzące ze strony infodjatlov.narod.ru

Autor: Historia ta przypomina nieco niskobudżetowy horror. Dziewięcioro młodych studentów wybiera się na narty na Ural, aby nigdy nie powrócić. Ostatecznie ekipa ratunkowa natrafia na ich ciała. Okazuje się, że pięcioro z nich zamierzało na śmierć w pobliżu namiot

Przedruk ze strony:

<http://www.infra.org.pl/historia-/zagadki-dziejow/640-tragiczny-final-wyprawy-na-ural-50-lat-po-zaginicu-grupy-diatlova>

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl